



Kryminał z myszką

68

# Nocny gość

Anna  
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

# NOCNY GOŚĆ

Kryminał z myszką – Tom 68

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-77-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1973, seria „Labirynt”

## Prolog

Człowiek przebudził się w środku nocy, uniósł na łokciach i nasłuchiwał. Pod niedalekim wiaduktem przeleciał elektryczny, dudnienie przytłumiło na chwilę szelest liści i jakby szmer kroków przed furtką; a może był to tylko skradający się w mroku kot albo nocny ptak.

Wciąż jednak nasłuchiwał z uwagą. Potem siadł na tapczanie, wsunął stopy w miękkie pantofle, był już pewien, że ktoś zatrzymał się pod oknami małej willi. Jeszcze zupełnie ciemna noc była dziś wyjątkowo gorąca; pierwsze dni czerwca, a upał niczym w środku lata. Nawet szeroko otwarte okna nie dawały chłodu.

Nie zapalając światła wyszedł na schody, jeszcze słuchał przez chwilę. Wtedy właśnie czyjaś ręka delikatnie zastukała do drzwi frontowych. Uznał więc, że nie należy dłużej zwlekać. W małym, raczej przedpokój przypominającym holu zatrzymał się przy drzwiach i spytał półgłosem:

– Kto tam?

– Do pana Michlarskiego. – Głos był obcy, męski.

– Ale kto?

– Siostrzeniec, od ciotki Ludwiki z Torunia. Przyjechałem na egzamin.

Otworzył drzwi, pozostawiając jednak założony łańcuch, i zaczął uważnie przypatrywać się przybyszowi, oświetlonemu teraz zawieszoną nad schodkami do ogródka lampą. Wreszcie odrzekł cicho:

– Egzaminy są przełożone na lipiec.

– W takim razie będę zdawał na inny fakultet – odparł tamten bez wahania.

Drzwi otworzyły się szeroko i gość wsunął się do holu. Miał ze sobą podniszczoną czarną teczkę, ubranie – pospolite, granatowe i nieco już wytarte – leżało tak, jakby jego właściciel nie używał nigdy żelazka, szare tenisówki na bosych nogach miały popękane boki i były jak zawiązane sznurowadła.

Michlarski obrzucił go uważnym wzrokiem, uśmiechnął się lekko.

– Bez sensu – mruknął wzruszając ramionami. – Tak się chodziło u nas wiele lat temu, ale nie dziś. I nie w Warszawie. A w każdym razie nie w pańskim wieku.

– Zdążyłem to zauważyć – odparł gość. Rozglądał się dokoła, czujny i jakby sprężony w sobie. – Mała przygoda po drodze, i stąd ten ubiór. Nic lepszego nie znalazłem w tym schowku przy chałupie. Myślę, że używali ubrania do robót w polu. W kieszeniach było pełno plew czy czegoś takiego. No, mniejsza. Chciałbym się wykąpać i trochę przespać.

– Oczekiwałem pana w zeszłym tygodniu – mówił gospodarz, rozkładając wersalkę w drugim pokoju. Sięgnął do szafy, wyjął z niej przygotowaną bieliznę, buty, różne drobiazgi, które mężczyźni najczęściej noszą w kieszeniach, wszystko lekko używane, ale w dobrym gatunku. Oceniał wzrokiem wymiary swego gościa, który zrzucał przybrudzone łachy, i rzekł uspokojony: – Powinno pasować.

– Przecież miał pan dokładny opis mego wzrostu, tuszy, rozmiary ubrań i tak dalej...

– Oczywiście. Przekazaliście mi jednak inną numerację niż używana w Polsce.

Musiałem bardzo ostrożnie dowiadywać się, jakiemu rozmiarowi u nas odpowiada, na przykład, numer angielski czy holenderski. No, ale sądzę, że wszystko jest w porządku. Zresztą chodzi tylko o pierwsze dni, potem panu kupię, co trzeba. Proszę, tu jest ręcznik, mydło znajdzie pan w łazience. Maszynkę i żyletki też. Szczotkę do zębów...

– Mam – przerwał tamten.

– Dobrze. Chce pan teraz coś zjeść czy później? – zapytał ziewając szeroko i spojrzął na zegarek. Było kilka minut po drugiej.

– Później. Chcę spać, możliwie jak najdłużej.

– Kiedy pan... to znaczy, od kiedy jest pan w kraju?

– Od trzech dni, pomiędzy którymi nie spałem ani godziny.  
– Jutro, właściwie dziś, jest niedziela. Nie idę do pracy, możemy więc spokojnie ustalić, co i jak.

Nie będę pana budził. Znajdzie pan mnie albo w domu, albo w ogródku. Dobranoc.

– Jakich ma pan sąsiadów? Mogę tu otworzyć okno?

– Może pan. Nie utrzymuję kontaktów z sąsiadami, znam ich, można powiedzieć, niemal tylko z widzenia. Mieszkam tu przeszło dwa lata i nie zauważyłem, żeby się mną jakoś interesowali. Czasami pożyczamy sobie narzędzia ogrodnicze, z tymi po prawej stronie. Z lewej mieszka rodzina kolejarska, mają olbrzymią ilość dzieci i tylko to ich zajmuje. Do mnie nigdy nie przychodzą.

– Pan mieszka zupełnie sam? – Przybysz nie mógł ukryć zdziwienia. – Przecież to jest spory dom.

– Sam. Teraz.

Odpowiedź nie zachęcała do dalszych pytań. Michlerski odwrócił się i odszedł zamykając drzwi.

## Rozdział 1

Za szybą lśniła prześwietlona reflektorami smuga drobnego, jednostajnie mżącego deszczu. Choć dochodziła dopiero dziewiąta wieczór, na dworze była noc. Listopad – najgorszy miesiąc roku – nękał ludzi wnikającą wszędzie wilgocią i chłodnym wiatrem, który zacinał prosto w twarz, w jakąkolwiek stronę by się nie obrócić.

– Uwaga! – odezwał się głośnik. – *Samolot holenderskich linii lotniczych, rejs 292 z Amsterdamu, wylądował i kołuje na stanowisko czwarte...*

Odrzutowiec DC-9 spóźnił się zaledwie o dwadzieścia dwie minuty, co przy tej pogodzie było niezwykłym osiągnięciem załogi. Na mokrej od deszczu płycie czekał drżąc od chłodu znużony przedstawiciel KLM. Po nielicznych i śpiesznie wysiadających pasażerów podjechał zaraz autobus, by przewieźć ich do pobliskiego budynku lotniska.

Erich Lobmann, mężczyzna postawny, o szerokich ramionach, które wydawały się jeszcze szersze w grubej jesionce z ciemnoszarej wełny, w szarym kapeluszu, wilgotnym od amsterdamskiego deszczu, bo taka sama pogoda panowała w całej niemal Europie, dzierżący piękną czarną teczkę modnego kształtu, podał oficerowi WOP swój holenderski paszport i zatrzymał na chwilę wzrok na szczupłej, chłopięcej twarzy porucznika.

Lobmann był po raz pierwszy w Polsce. Z ciekawością przyglądał się dworcowi lotniczemu, pasażerom i niewielkiej, wskutek późnej pory, grupie witających. Załatwiwszy formalności, zatrzymał się na chwilę w dużej poczekalni, nie dlatego, aby spodziewał się, że ktoś będzie go tam oczekiwał, lecz po prostu dlatego, że chciał ją sobie obejrzeć.

– Przepraszam... Pan inżynier Lobmann? – usłyszał czyjś głos za sobą. Pytanie zadano po niemiecku, znał ten język równie dobrze, jak holenderski.

Odwrócił się zaciekawiony, nikt go tu przecież nie znał, sądził, że to któryś z urzędników celnych nie zakończył swoich czynności. Przed nim stał mężczyzna niewielki, okrągły, rumiany na pełnej przyjaznych uśmiechów twarzy. Niebieskie, trochę wylupiaście oczy patrzyły na Lobmanna jak na starego znajomego.

– Tak, to ja – odparł ze zdziwieniem. – Przepraszam, ale jakoś nie przypominam sobie?... – zawiesił głos.

– Pan Erich Lobmann z Amsterdamu? – tamten chciał się widać upewnić, czy nie zaszła pomyłka. – Z firmy REALET?

– Tak – powtórzył. I dodał: – Przyjechałem do fabryki... do fabryki – zaciął się, zapomniał tej trudnej polskiej nazwy, sięgnął więc do kieszeni płaszcza, gdzie miał przygotowaną kartkę, i odczytał, sylabizując: – Zakłady Aparatury Elektronicznej K-12.

– Pan mnie nie pamięta, ale przecież się znamy! – rumianolicy roześmiał się wesoło. – Ja jestem właśnie z tych Zakładów. Witam pana, inżynierze Lobmann – wyciągnął rękę, zrzuciwszy z niej śpiesznie rękawiczkę z żółtej świńskiej skóry. – Nazywam się Artur Michlerski, jestem inżynierem, zastępcą szefa produkcji. Poznaliśmy się w Amsterdamie. Co prawda, było to dość dawno!

– O, jakże mi przykro! – Lobmann był wyraźnie zażenowany swoim nietaktem. Wyteżając pamięć, z trudem przypominał sobie tamto spotkanie. – Doprawdy, proszę mi wybaczyć.

– Nic nie szkodzi. Cieszymy się, że pan przyjechał – mówił Michlerski, niemal całą swą postacią dając do poznania, jak bardzo i on się z tego cieszy. – Czekaliśmy już w zeszłym tygodniu. Czy zaszło coś, co opóźniło pana przyjazd? Wychodziliśmy na każdy samolot z Amsterdamu.

– Nie – odparł Lobmann, trochę zdziwiony. – Nie dostaliście listu z terminem mego przyjazdu?

– Listu? – z kolei zdziwił się zastępca szefa produkcji. – Nie. Wiedziałbym o tym. A kiedy pan go wysłał?

– Przedwczoraj.

– E, to mógł nie dojść. Wie pan, jak to z pocztą bywa. No, nic. Najważniejsze, że pan już jest. Proszę do samochodu. Przyjechałem po pana swoim wartburgiem – mówił, kiedy szli do wyjścia. – Pokój w hotelu ma pan zarezerwowany. Trochę daleko od Zakładów, ale będziemy przysyłać wóz. Bardzo nam zależy na szybkim uruchomieniu frezarek!... Proszę, to ten samochód.

Jasnokremowy wartburg stał trochę na boku. Michlerski uprzejmie otwierał drzwiczki. Na tylnym siedzeniu leżały jakieś paczki i koc, więc inżynier powiedział z zażenowaniem: – Może siądzie pan obok mnie, bo nie zdążyłem uporządkować wozu.

– Nic nie szkodzi – odrzekł Lobmann, z pewnym trudem wciskając się na przednie siedzenie.

Michlerski umieścił walizkę gościa w bagażniku, teczkę położył na paczkach, zatrzasnął drzwiczki. Wóz ruszył miękko i cicho, deszcz już nie padał, niebo przetańczyło się.

– Zawiozę pana do hotelu – mówił przedstawiciel Zakładów – a jutro z rana proszę zatelefonować, jak pan będzie już po śniadaniu. Czy w tym liście były jakieś dodatkowe informacje dotyczące pańskiej pracy u nas?

– Nie. Raczej nie. Podawałem w nim dzień i godzinę przybycia. Zastrzegłem tylko, że gdyby wskutek złej pogody samolot nie odleciał z Amsterdamu, wówczas przylecę następnego dnia. To znaczy, jutro.

– Ach, tak – odpowiedział uprzejmym tonem Michlerski.

Samochód skręcił w prawo.

\*

Telefon odezwał się dyskretnym brzęczeniem. Śpiący poruszył się, westchnął. Potem po omacku sięgnął po słuchawkę.

– Halo...

– Herr Lobmann?

– Jaaa, was ist... – nie mógł się zbudzić na dobre, w pokoju było ciemno. Poszukał lampki nocnej, nacisnął kontakt.

– Gut morgen. Es ist sechs Uhr.

– Danke.

Potrzebował kilku minut, aby myśli zaczęły działać sprawnie. Pół godziny na poranną toaletę, dodatkowy kwadrans na przejrzenie raz jeszcze pewnych dokumentów. Za dziesięć siódma zjawił się w holu, poczekał, aż otworzą kawiarnię hotelową. Zajął mały stolik na samym końcu i zamówił dwa jajka w szklance, dużą białą kawę, bułki, masło i miód.

Po śniadaniu wrócił do pokoju i połączył się z numerem, który znajdował się w notesie wśród innych zapisków, dotyczących wyjazdu do Polski. Był to telefon sekretariatu naczelnego dyrektora Zakładów K-12. Ale z tamtej strony nikt się nie zgłaszał. Po namyśle wykręcił więc numer zastępcy szefa produkcji, magistra inżyniera Artura Michlerskiego.

– Dzień dobry panu, mówi Lobmann – rzekł po niemiecku. – Jestem gotów do drogi.

– Dzień dobry, panie inżynierze! – Michlerski miał głos rozpromieniony. – Jakże się spało pierwszą noc w Warszawie?

– Bardzo dobrze. Czy...

Ale tamten mu przerwał:

– Cieszę się ogromnie. Zjadł pan już śniadanie?

– Zjadłem i...

– To świetnie! Można więc przysłać po pana samochód?

– Właśnie chciałem o to prosić, abyśmy nie tracili czasu.

Michlerski roześmiał się, jakby usłyszał dowcip.

– Niechże pan nie będzie taki surowy dla samego siebie – powiedział lekko. – Po podróży trzeba odpocząć.

– Odpocząłem. Spałem. Jak poznam ten samochód?

– To będzie szara wołga... nie wiem, czy pan zna ten typ wozów?

– Oczywiście. Numer rejestracyjny?

– Już podaję!... Pani Jolu – zastępca szefa produkcji mówił teraz szeptem – niech mi pani poda numer rejestracyjny dyrektorskiej wołgi. Szybciutko!... Tak, dziękuję... Panie inżynierze, proszę zanotować: WE-dwadzieścia sześć dwadzieścia dwa.

– Zapisalem.

– Wóz będzie przed hotelem mniej więcej za dwadzieścia minut. Żeby pan nie czekał, proszę wyjść na chodnik za pół godziny, dla pewności.

– Czas kierowcy liczy się tak samo, jak mój – zauważył Lobmann. – Mogę chwilę poczekać na niego. Do widzenia.

Szara wołga wiozła go później przez miasto. Zakłady mieściły się na peryferiach północnej Pragi, wybudowano je w ostatnich latach, wyrosły na ruinach jakiejś starej fabryczki, zburzonej w czasie wojny. Kierowca od czasu do czasu przyglądał się w lusterku twarzy swego pasażera, o którym wiedział tylko, że jest holenderskim inżynierem. Holandia kojarzyła mu się przede wszystkim z serem i tulipanami. Nie miał jeszcze okazji być za granicą. W pewnej chwili przypomniał sobie dwie potężne obrabiarki, sprowadzone niedawno z importu, jakieś nowoczesne cuda z numerycznym sterowaniem. Nie znał się na tym, ale obrabiarki były właśnie holenderskie.

– REALET – powiedział mimo woli, taka nazwa firmy widniała na obrabiarkach. Pasażer dosłyszał, uśmiechnął się.

– Ja, REALET – powtórzył. I palcem pokazał na siebie. Potem dodał: – Ich bin aus dieser Firma.

Ale kierowca nie rozumiał po niemiecku, jechali więc dalej w milczeniu. Lobmann opuścił nieco szybę i z wyraźnym zaciekawieniem przypatrywał się mijanym ulicom. Minęli ZOO, cerkiew i pomnik, skręcili w lewo. Wreszcie samochód zatrzymał się przed wysokim, otaczającym Zakłady murem.

Wprowadzony przez kierowcę do sekretariatu naczelnego dyrektora, Erich Lobmann skłonił się lekko przed drobną, szczupłą blondynką i powiesił kapelusz na wieszaku przy

drzwiach. Chciał to samo zrobić z płaszczem, jednakże sekretarka z uśmiechem zabrała okrycie, zawiesiła starannie na wieszaku i schowała do szafy.

– Danke schoen – podziękował z uśmiechem.

Usiadł skromnie na krześle pod ścianą, teczkę położył na kolanach. Twarz miał skupioną, brwi lekko ściągnięte, jak gdyby układał sobie w myślach pierwszą rozmowę z kierownictwem Zakładów.

Z gabinetu dyrektora Rosińskiego wybiegł pośpiesznie okrągły, rumianolicy Michlerski i przyjacielskim gestem zaprosił gościa do środka. Dyrektor Zakładów powitał gościa z westchnieniem ulgi, podsunął fotel, papierosy, zaproponował kawę.

– Bardzo się cieszę, że pan przyjechał – powiedział ze szczerością w głosie. – Ogromnie nam zależy na szybkim uruchomieniu obrabiarek, a obawiam się trochę, że sami moglibyśmy mieć z tym kłopoty. Po prostu, nie było jeszcze u nas tego typu maszyn, to znaczy z numerycznym sterowaniem.

– Nasz system ma wiele zalet, jakkolwiek tu i ówdzie odzywają się głosy, że ma i wady – odparł Lobmann, biorąc papierosa. – Podstawową zaletą naszych maszyn jest, według mnie, oszczędność czasu i dużo większa szybkość skrawania. Nie dziwię się, że pańskie Zakłady... że pan, jako dyrektor naczelny, nie ryzykował puszczenia w ruch tych dwóch frezarek. Są przecież bardzo kosztowne. Dlatego firma wydelegowała mnie do skontrolowania prawidłowości ustawienia i do przeprowadzenia pierwszych operacji. No, a ja przy tej okazji – uśmiechnął się – mogłem odwiedzić Polskę.

– Nigdy pan u nas nie był?

– Nigdy.

– Kiedy byłem w Amsterdamie – wtrącił Michlerski – rozmawialiśmy z panem inżynierem Lobmannem, że dobrze by było, aby przyjechał kiedyś zwiedzić nasze Zakłady. Przekonałby się, że potrafimy produkować najnowocześniejsze wyroby.

– Nigdy w to nie wątpiłem – Holender skłonił się w stronę obu panów. – Niejednokrotnie miałem do czynienia z polskimi narzędziami, z aparaturą kontrolno-pomiarową. A także z polską szynką! – dodał.

Roześmieli się. Michlerski dorzucił:

– I pewnie z polską wódką. Ma za granicą dobrą markę.

Sekretarka wniosła kawę, podała koniak. Lobmann dyskretnie przyjrzał się butelce, co zauważywszy dyrektor rzekł:

– Węgierski. Od przyjaciół.

– Aha, prawda! – gość sięgnął do swojej teczki, wyjął z niej ładnie opakowaną paczkę, rozwinął i położył przed dyrektorem kilka tabliczek czekolady Van Houtena. – Pozwoli pan, że ten skromny podarunek będzie potraktowany również jako przyjacielski.

Rosiński, nieco zaskoczony, podziękował i przyjął prezent, postanawiając przekazać go sekretarce.

– Wobec tego – dyrektor zwrócił się do zastępcy szefa produkcji – że jest pan jedynym naszym pracownikiem, który z inżynierem Lobmannem zawarł znajomość jeszcze za granicą, nakładam teraz na pana, kolego, miły obowiązek zaopiekowania się naszym gościem. Proszę dopilnować, aby każdego ranka samochód zabierał go z hotelu. W pańskim pokoju jest, zdaje się, wolne biurko?

– Tak, panie dyrektorze. Inżynier Kocyk nie wrócił jeszcze z sanatorium. I chyba nieprędko wróci, to dłuższa kuracja.

– Więc niech pan posadzi pana Lobmanna przy tym biurku, żeby miał gdzie schować papiery, coś napisać i tak dalej. Jak długo może pan u nas pozostać? – zwrócił się do Holendra.

Ten zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

– Nie dłużej niż dwa tygodnie, ale wolałbym tydzień, najwyżej dziesięć dni. W pierwszych dniach grudnia czeka mnie podróż do Stanów Zjednoczonych. Jeżeli obrabiarki są ustawione prawidłowo, przegląd i rozruch nie powinien zająć więcej niż kilka dni. Nasze dwuwrzecionowe frezarki ze sterowaniem numerycznym kształtowym pracują na ogół doskonale. Nie mieliśmy jeszcze reklamacji.

– Jeżeli się nie mylę – powiedział Michlowski – system sterowania w tych obrabiarkach opiera się na angielskim?

– Tak – odparł Lobmann z odrobiną niechęci. – Jest podobny do systemu brytyjskiej firmy EMI. Ale wprowadziliśmy pewne ulepszenia.

Rosiński pożegnał gościa, gdyż wzywano go na naradę do Zjednoczenia, a zastępca szefa produkcji poprowadził Lobmanna przez korytarze budynku administracyjnego do swego pokoju. Siedział tam trzeci pracownik, młody inżynier w mundurze wojskowym, w stopniu kapitana. Michlowski, zapoznając ze sobą obu panów, nadmienił, że inżynier Polewski pracuje w innym, wydzielonym oddziale „S” i przebywa tu tylko chwilowo.

Polewski słuchał tego wyjaśniania z uwagą, znał bowiem dobrze język niemiecki. Raz tylko spojrzął przelotnie na Michlowskiego, ale ten niecierpliwie zamachał rękami i rzekł po polsku:

– Wiem, wiem! Nie powiem nic, czego mówić nie wolno. Chyba zna pan mnie nie od dzisiaj. On przyjechał tylko do tych holenderskich frezarek. Będzie siedział w naszym pokoju, bo nie ma gdzie. Stary tak kazał. Zresztą, ja go mam przez ten cały czas holować. A w ogóle, to on przez większość dnia będzie w hali E-6, przy frezarkach.

Zwrócił się do Holendra z przeproszającym uśmiechem, ten jednak, nie zwracając uwagi na słowa w obcym języku, przyglądał się tytułom książek w szafce wzdłuż okien. Była tu dość bogata biblioteka techniczna w paru językach, dotycząca różnych zagadnień, głównie jednak z zakresu automatyzacji produkcji. Zakłady systematycznie wprowadzały coraz to nowe linie obrabiarek, które były oczkiem w głowie resortu maszynowego.

Michlowski posadził Lobmanna przy wolnym biurku, naznosił papieru, teczek, kilka długopisów, wyjaśnił, jak posługiwać się sporządzonym po polsku spisem wewnętrznych telefonów. Holender wysłuchał go uprzejmie, a potem odrzekł, że telefonować raczej nie będzie, chyba do naczelnego dyrektora. Umieścił swoją teczkę w opróżnionej szufladzie, przebrał się w przygotowany dla niego kitel roboczy, po czym wraz z nieodłącznym Michlowskim zszedł do hali E-6.

Dwie wielkie holenderskie frezarki firmy REALET były już osadzone w cementowej podłodze i zakryte starannie brezentowymi płachtami. Kręcili się obok nich robotnicy, zwłaszcza ci, którzy mieli je później obsługiwać. Wiedzieli, że przyjechał przedstawiciel firmy, ciekawiło ich, jak wygląda i jak się zabierze do roboty.

Michlowski przedstawił Holendrowi młodego technologa, Stanisława Pękałę, i rzekł:

– Kolega Pękała został wyznaczony na kierownika organizacji całości prac związanych z uruchomieniem frezarek. Możecie swobodnie porozumiewać się po niemiecku, gdyż zna on ten język bardzo dobrze.

Lobmann przyjrzał się szczupłemu mężczyźnie o suchej, pociągłej twarzy, powiedział kilka niezobowiązujących zdań o tym, że się cieszy ze współpracy, i spytał, czy robotnicy zostali dostatecznie przeszkoleni w obsłudze frezarek z numerycznym sterowaniem.

– Owszem – odparł Pękała, przeczesując palcami gęste jasne włosy. – Byliśmy całą grupą w zakładach McGraw-Cliffs, przez kilka tygodni. Tam mają podobne frezarki z systemem sterowania EMI.

– Bardzo dobrze – Lobmann skłonił lekko głowę, jakby oddając hołd przezorności swego klienta. – Sądzę więc, że nie będzie kłopotów z szybkim uruchomieniem maszyn.

– Panu się śpieszy? – jakby zdziwił się Pękała.

– Tak. Chciałbym zakończyć pobyt u was najdalej po dwóch tygodniach.



– Możemy puścić obrabiarki od razu na dwie zmiany.  
 Michlerski kręcił się dokoła nich trochę zniecierpliwiony, wreszcie rzekł:  
 – Zostawię pana z kolegą Pękałą, dobrze? Mam sporo swojej roboty.  
 – Ależ oczywiście! – zgodził się Holender. – Będę tutaj przez kilka godzin.  
 – Doskonale. No to, kolego – zwrócił się do technologa – zostawiam naszego drogiego gościa pod waszą opieką. – I dodał po polsku: – Jakby co chciał, to dajcie mi znać do pokoju. A na siusiu niech nie łązi do tej ubikacji za halą, bo tam brudno. Powie potem, że u nas niechlujstwo, wiecie... Niech pan mu pokaże naszą, na górze. Ręce też niech tam umyje, dostanie ręcznik i mydło.  
 – Dobra – mruknął Pękała. – Nie dam mu zginąć. A jak z obiadem?  
 Michlerski zastanawiał się przez chwilę. W końcu rzekł niepewnie:  
 – Najlepiej byłoby w stołówce przy hali „S”, ale nie wiem, czy go tam wpuszczą. Zawsze to obcy, zagranicznik, a tam produkcja specjalna. Wiecie co? Zapytam Rosińskiego. Niech uzgodni to z władzami. Bo nasza stołówka w remoncie, jest tylko bufet.  
 – Zimną kiełbasę pod mineralną będzie żarł? – Pękała patrzył na niego sceptycznie. – Jeszcze nas obszczeka.  
 – Właśnie, cholera! Zapytam Rosińskiego. A, prawda, wyjechał do Zjednoczenia... No, może mi się uda samemu jakoś to załatwić. Zadzwońcie do mnie gdzieś koło drugiej, trzeciej. Chyba że jemu wcześniej zachce się jeść.  
 – To niech nie je wcześniej. Musi?  
 – W bufecie bywają flaki, ale czy on to je?  
 – Nie mam pojęcia. Nie byłem w Holandii.  
 – Ja byłem, ale nie pamiętam. A w Anglii?  
 Pękała wzruszył ramionami. Po angielskiej kuchni chorował dwa miesiące na żołądek i miał o niej zdecydowane zdanie. Uzgodnili, że Michlerski jakoś załatwi Holendrowi obiady, a drugie śniadanie może zjeść w bufecie.  
 – My jemy, to i on może – rzekł technolog wzruszając ramionami. – Z innej gliny ulepiony, czy jak. Może zresztą będą mieli szynkę...  
 Michlerski odszedł, a tamci zabrali się do pracy. Zdjęto płachty z frezarek, robotnicy zaczęli starannie wycierać zakurzony metal. Nadszedł kapitan Polewski, ciekaw, jak Lobmann rozpocznie swoje czynności.  
 Prawdę mówiąc, bardziej od maszyn interesował kapitana sam holenderski inżynier. Przypatrywał się jego wysokiej, barczystej postaci, ruchom rąk; zaciekawił go sposób, w jaki podchodził do frezarki. Twarz Lobmanna była skupiona. Twarz ta, o oczach jasnych, niemal przezroczystych, nad którymi biegły gęste łuki brwi, nosie prostym, dużym, ustach z wąsko zarysowanymi wargami, była twarzą człowieka myślącego, bystrego, na pewno opanowanego.  
 Interesujący facet – myślał Polewski obserwując, jak tamten przy pomocy gestykulacji wyjaśnia jednemu z robotników, gdzie ma ustawić składaną drabinkę. – Z wykształcenia, zdaje się, elektronik. Ma na oko czterdzieści parę. Ciekawe, na jakim stanowisku pracuje w tej swojej firmie... Pewnie dobrze zarabia. Wygląda na uczciwego. Tak, ale do naszej stołówki go nie wpuszczę...  
 Wrócił do pokoju. Michlerski rozpaczał przy telefonie, zachrypnięty, spocony usiłował kogoś przekonać, że terminu przesyłki nie można przesunąć, bo stanie pól wydziału. Wreszcie rzucił słuchawkę, otarł twarz i powiedział już spokojnym głosem:  
 – On, cholera, dobrze wie, że musi przysłać do piętnastego, tylko tak próbuje. Jakby trafił na innego, to by go przegadał.  
 – Kto? – mruknął Polewski, zajęty swoimi myślami. I nie słuchając odpowiedzi zapytał:  
 – Dawno pan zna Lobmanna?  
 – Kogo? A, tego Holendra. Poznałem go w Amsterdamie parę lat temu.

– Długo?  
– Co długo?  
– Pytam, ile czasu pan go widział. No, dzień, tydzień... godzinę?  
Michlerski wzruszył ramionami.  
– A czy ja pamiętam? Przecież w ogóle w Amsterdamie długo nie byłem. Z Lobmannem poszliśmy jednego dnia na wystawę sprzętu elektrotechnicznego. No i w firmie trochę rozmawialiśmy.  
– Nie miał pan teraz trudności z rozpoznaniem go na lotnisku?  
– Nie. Ja mam pamięć do twarzy. Ale o co właściwie chodzi? – zachnął się niechętnie. – W ogóle nie mogę zrozumieć, skąd takie pytania? Pracuje pan u nas jako inżynier...  
Polewski nie pozwolił mu dokończyć.  
– Owszem, ale z ramienia resortu obrony narodowej interesuje mnie to wszystko, co może mieć jakiś związek z produkcją specjalną – powiedział. – To chyba nie powinno pana dziwić. Obowiązek ścisłego przestrzegania przepisów ciąży zresztą w jednakowym stopniu na nas wszystkich, prawda?  
– No, niech i tak będzie – zgodził się Michlerski. – Wracam do rzeczy: tego Lobmanna trzeba będzie wpuścić do waszej stołówki. Niezła jest. Załatwi pan?  
– Nie załatwię – odparł Polewski pogodnie. Wyciągnął przed siebie długie nogi i spoglądał na inżyniera spod przymrużonych powiek.  
– Dlaczego?  
– Bo na produkcję specjalną nie wpuszczamy cudzoziemców. Pana zresztą też nie.  
– Bo co? – obraził się Michlerski. – Byłem tam z dziesięć razy. Sądzi pan, że szpieguję czy jak? Wypraszam sobie!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI